

Zdzisław Kozioł

WIELKA OAZA

GRUDZIEN 2000 roku... Nad warszawskim lotniskiem szaleje burza śniegowa, ale samolot Francuskich Linii Lotniczych, kilkusetosobowy Mirage-120 precyzyjnie ląduje, zatrzymując się tuż przy wejściu do portowego metra. Pasażerów pozdrawia dyżurny tradycyjnym zwrotem: — Witam państwa w stolicy Polski Ludowej. Mam nadzieję, że państwo przyjemnie spędzą u nas święta i Nowy Rok. Na sporą grupę Francuzów, Belgów i Holendrów czeka w porcie krajowym specjalny samolot o pionowym lądowaniu i starcie, który obsługuje najdalej wysunięte lotnisko na południu Polski, położone wysoko w górach. Po kilkunastu minutach statek powietrzny mija Góry Świątokrzyskie. Widoczność jest już dobra, więc stewardessa informuje o regionach, nad którymi przelatają turyści zagraniczni.

— Za chwilę będziemy nad Bieszczadami, jednym z największych i najatrakcyjniejszych w Europie kurortów, który nie utracił swych naturalnych walorów; wraz z Beskidem Niskim ten kurort-gigant obejmuje ponad 300 tys. hektarów lasów, połonin, zbiorników wodnych... Latem żywa zieleń, zimą nieskażona biel śniegu; uzdrowiska, domy wczasowe, stacje klimatyczne, pensjonaty, a także Dom Pracy Twórczej UNESCO i Międzynarodowy Dom Dziennikarza. W lasach żyje jeleni karpaci, niedźwiedź i żubr, którego stado przed niespełna 50 laty liczyło kilka sztuk, a teraz blisko setkę...

— Spójrzcie państwo na prawo! Ten kompleks gmachów, to słynne uzdrowisko „Arsen”; bogate źródła wód arsenowych pozwoliły stworzyć ośrodek balneologiczny, gdzie leczy się m. in. białaczkę, choroby nowotworowe i popromienne; rokrocznie gościmy tu kuracjuszy z wielu krajów. A tam dalej widzicie państwo kolonię domków Prewentorium Dziecięcego im. Janusza Korczaka.

— A te wille wzdłuż dróg i rzek?

— To pensjonaty, nieduże, przytulne, ale w Bieszczadach i

Beskidzie jest ich w sumie kilkaset. Zbliżamy się już do portu w Przysłopiu, skąd roztacza się najpiękniejsza panorama wschodnich Karpat. Proszę zapiąć pasy, podchodzimy do lądowania.

Rzeczywiście, już czas zejść na ziemię, bo kalendarz wskazuje nie 2000, lecz 1967 rok. Dlatego trudno przewidzieć, czy lotnisko będzie akurat w Przysłopiu, ale faktem jest, że stąd roztacza się najładniejsza panorama gór, a sama miejscowość ma podobno wyjątkowo korzystny mikroklimat. Przedwojenne mapy sztabowe informują, że było tu ponad sto zabudowań chłopskich, dziś zaś ani jednego, lecz o walorach tego bezładnego zakątka przypomnieli planiści, którzy sporządzili plan przestrzennego zagospodarowania rejonu górskiego. Plan obejmuje zadania do roku 1985, wzmiankując także o przedsięwzięciach wykraczających poza tę cezurę. Nie ustalono jeszcze lokalizacji lotniska w górach, bo to kwestia mniej więcej 2000 roku, natomiast pasażerski port przewidziano w Krośnie, skąd tylko krok w Bieszczady i Beskidy. Czytelnik wybaczy mi mistyfikację z domami międzynarodowymi, chociaż kto wie... Przecież tędy będzie przebiegać „droga karpacka”, tzw. trasa pięciu krajów, biegnąca z Morawskiej Ostrawy, przez Krakowskie, Rzeszowskie, następnie poprowadzi do ZSRR, Rumunii oraz przez Żelazną Bramę do Jugosławii... Będziemy więc ważnym ogniwem międzynarodowego szlaku turystycznego. A że bieszczadzko-beskidzka oaza będzie mieć ponad 300 ha powierzchni, to już jest więcej niż pewne.

Uzdrowisko „Arsen”? Za nazwę nie rękę, ale wiemy, że są tu wody arsenowe o cennych właściwościach leczniczych; koncepcja takiego uzdrowiska zyskała wielu entuzjastów. Zresztą w 55 miejscowościach bieszczadzkich wykryto istnienie licznych źródeł mineralnych; wodę ponad 230 źródeł poddano już badaniom fizyko-chemicznym, któ-

re wykazały ich wartości lecznicze. Międzynarodowe domy? Przepraszam, bluffowałem, ale Bieszczady, to unikat na miarę europejską. Byłem np. w Międzynarodowym Domu Dziennikarza nad Balatonem; tam jest cieplejsze i dłuższe lato, lecz Bieszczady mają niewspółmiernie bogatszą przyrodę, nie mówiąc już o ukształtowaniu terenów, gdzie właściwie sezon turystyczno-sportowo-leczniczy trwał będzie bez mała przez cały rok, bo poza letnią turystyką, z różnymi atrakcjami, są tu wymarzone warunki do uprawiania sportów zimowych.

Nie przesadziłem, mówiąc o żywej zieleni i nieskażonej bieli śniegu; plan przestrzennego zagospodarowania rejonu górskiego przewiduje wykorzystanie tych terenów dla odnowy sił człowieka. Wszystkie poczynania będą podporządkowane tej naczelnej tezie, która zakłada, że działalność gospodarza nie może przynieść szkody walorom naturalnym, przeciwnie — ma je wzbogacić.

Przyznam, że gdy pierwszy raz usłyszałem o założeniach planu, byłem skłonny pomówić mgr Kołodzieja z Wojewódzkiej Pracowni Planów Regionalnych o fantazję, ale dokumenty, plany, mapy, logiczna argumentacja rozwiały wątpliwości, które ustąpiły miejsca entuzjazmowi. Po wysłuchaniu prelekcji znamienna była wypowiedź niemłodego już nauczyciela licealnego, rozmiłowanego w naszych górach geografa: — To, o czym słyszeliśmy, trzeba wykorzystywać w pracy z młodzieżą, na lekcjach geografii i godzinach „wychowania obywatelskiego”; może „Widnokrąg” opisać tę koncepcję, by dostarczyć szkołom cennej pomocy.

Zapotrzebowanie jest dla mnie zrozumiałe, ale jak mu podolać, skoro plan zagospodarowania gór zawarto w dwóch grubych tomach, których autorami jest wielu specjalistów, konsultantami zaś sławy naukowe, chociażby

(Dokończenie na str. 3)



Czytelnikom
i Współpracownikom
Wesołych Świąt
i dobrego wypoczynku
życzy
„Widnokrąg”

Zdzisław Teneta

Dojrzewanie barw

Gładzę złoto dojrzałego kłosa
i nieba czerń gładzę nieskażoną
Spijam krople rosy na zlocie osiadłe
jak źródlaną wodę wśród bezkresu wspomnień

Niebieski płomień dzisiaj niespokojny
ma zapach choinek i białego bzu

Niebieski ogień ma moc dzieciństwa
odmierzaną głogu dojrzewaniem

Jest w źrenicach strach przed nieznanym
sytość barw i myśl obłądana —
gdybym wtenczas był tchnieniem poranku
zaklętym wśród przesuwanego szkła
gdybym był wizją obcych miast w kolorowych
neonach —

cichutko aby nie zburzyć gry tęczy
ulożyłbym głowę na kiściach złotych kłosów

Patrz — nawet jesiony nie tańczą na wietrze
spoglądają zdumione na niknącą czerń

Jan Szele

Dom rodzinny

przywołuje mnie dymu ręką
z rękawa komina wyciągniętą
szklanym spojrzeniem
spod strzechy rzes

pada progiem u stóp cierpliwym
ogrzewa oddechem u drzwi
za nimi

uczłowieczania trwał czas
poznawałem rozkosz chodzenia
osiągania okiennych ram
kolor krwi i smak ściany
upór stołu wszechobcość
błyskawic

należnych mi ludzi krąg
tymi drzwiami wynoszono kogoś
kto był bliski ale nieznanym
kiedyś gdy tutaj wrócę
odnaleźć raz jeszcze

swój pierwszy krok
może iza upadnie na kamień
domu który był
wiernym po ostatnią siekiereę
wbiją w bok.



Adam Potasz

Hej do szopki... brzozowskiej

Zwyczaj „chodzenia z szopką” jest żywy do dzisiaj. W okresie Bożego Narodzenia każdy niemal dzieciak szczypli się swoją, tą najpiękniejszą szopką, zrobioną z najserdeczniejszym przyjacielem wspólnych zabaw. Nieruchome przeważnie figurki z papieru lub z drzewa obnoszą od domu do domu i śpiewają wyuczone kolędy. Zdolniejsi szopkarze robią figurki ruchome. W niektórych znowu dzielnicach szopki są niesłychanie ozdobne i pomysłowe. Słynie z nich Kraków.

Murarze z Grzegórzek, szewcy z Kleparza oraz rzemieślnicy z innych dzielnic Krakowa wolne chwile od zawodowej pracy wypełniają „dłubaniną” przy szopce, a potem w asyście całej rodziny niosą swoje dzieło do Sukiennic, gdzie rokrocznie „urzęduje” komisja, organizująca wielki konkurs na najpiękniejszą szopkę. Wybrane eksponaty podziwiają mieszkańcy miasta, turyści, a niektóre trafiają do muzeów krajowych i zagranicznych. Szopki też robią karierę.

W naszym województwie wprawdzie nie organizuje się szopkarskich konkursów, lecz wcale to nie znaczy, że nie mamy uzdolnionych hobbystów oraz ludowych rzeźbiarzy, którzy zrobili kiedyś lub wykonują obecnie szopki zasługujące również na przypomnienie. W poszukiwaniu właśnie regionalnej szopki trafiłam do rodziny Ziółkosów w Brzozowie.

Andrzej Ziółkoś — twórca pięknej, kostiumowej szopki nigdy nie uprawiał rzeźbiarstwa. W miasteczku znano go jako zdolnego szewca. Zawodu nauczył się od starszego brata, Kazimierza, u którego mieszkał. W domu często bawił się z jego małym synkiem. Gdy małe miał 3 latka, wujcio Andrzej pomyślał o sprawieniu dla niego okazalego prezentu. Ponieważ nie miał za wiele pieniędzy, przeto powiedział: „zrobię piękną szopkę”.

Łatwiej było obiecać niż zmienić sztywno i dratew na ostry nóż, którym zaczął strugać w kawałki lipowego drzewa pierwszą figurkę. Ale z następną uporał się już łatwiej. Ogółem zrobił 40 figurek i każdą pięknie odział w regionalny strój z okolic Brzozowa. Pracując wytrwale przez rok, ukończył szopkę w 1902 roku, tuż przed Bożym Narodzeniem. Wywołała zachwyt i radość.

Cała szopka zajęła niemal pół izby. Zmontowano ją na prostokątnym postumencie, ustawio-

nym obok ściany, wysokim na półtora metra, długim na dwa metry i szerokim na półtora metra. Sam budynek szopki, z umieszczoną we wnętrzu świętą rodziną, wygląda niepozornie, jest mały, pokryty słomą i zawieszony na dalszym planie. Natomiast rozbudowane zostało proscenium, na którym rozstawiono wszystkie figurki ludzi oraz zwierząt.

Postacie z szopki są dość wysokie i mają po około 25 cm. Odnaczają się niezwykle precyzyjnie wyrzeźbionymi głowami oraz rękami, które są ruchome. Nie mają zaś wykończenia nóg, gdyż stopy kryły się zawsze w grubej warstwie jałowca. Największą zaletą figurek są stroje, wykonane z zadziwiającą wprost dokładnością i troską o szczegóły, jak ozdoby oraz różne dodatki. Dotyczy to również darów niesionych przez zdążających do szopki. Sukmany, kapelusze i koszule można zdejmować z figurek, gdyż są sztywne.

Z licznych figurek ustawionych na proscenium rzucają się przede wszystkim w oczy trzej królowie zdążający do szopki; jeden na słoniu, a dwóch na wielbłądach. Królewskie szaty prezentują się okazale. Dobrze widoczne są bogate dary. Świetnie też wyglądają muzykanci. Zadziwiają zwłaszcza misternie wykonane instrumenty, jak basy, trąbki i skrzypce.

Wieśniacy ubrani są w kożuchy i barankowe czapki. Niektórzy mają sukmany z grubego sukna. Każda figurka ma ruchome ręce, przystosowane do niesienia smacznych darów oraz rekwiizytów. W miniaturowych koszykach widać jabłka i orzechy. Są faski z masłem, serem i miodem, kosze i opalki z jajkami oraz drobiem. Kilku gospodarzy ma przewieszzone przez plecy torby zrobione ze skóry.

Jest wreszcie brzozowski rabbin. Podobno miniaturka żywego, który w tamtych latach spacerował ulicami miasta. Zresztą wszystkie figurki świadczą o tym, że wykonawca to bystry obserwator, który w sposób realistyczny odtworzył różne typy swego środowiska. Kostiumowa szopka jest po prostu miniaturową, rzadko w tak pomysłowej formie przekazaną fotografią brzozowskiego społeczeństwa z początku XX wieku.

— Szopka piękna sprawiała domownikom wiele radości, ale i kłopotów — wspomina Eleonora Ziółkoś. Trzeba było zawsze przygotować maleńkich rozmia-

strucle, rogaliki, bułki, które wkładało się do koszyków, niesionych przez pasterzy i wieśniaków. Zajmowała ona dużo miejsca, że nie było gdzie się ruszyć. Licznie odwiedzały nas dzieci, a także przychodzili starzy z całego Brzozowa, a nawet ludzie z sąsiednich wiosek przyjeżdżali, żeby zobaczyć okazałą szopkę, która od świąt Bożego Narodzenia stała do 2 lutego. Potem ją rozbierano i chowano w większych pudełkach. I tak rokrocznie od ponad 60 lat. Po śmierci Andrzeja szopką opiekował się mój mąż aż do momentu zakupu jej przez Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku.

Odszukanie zdolnego szopkarza i jego oryginalnego dzieła zawdzięczać należy mgr Annie Kisielewskiej, pracownikowi naukowemu wspomnianego Muzeum. Ma ona „szczęśliwą” rękę, gdyż jako badacz kultury ludowej, przemierzając wioski odnalazła nie tylko Ziółkosia, lecz także innych twórców. Wymienić jeszcze warto szopki kukielkowe: W. Sochackiego z Karolówki koło Dynowa (z 9 figurkami) oraz A. Łaski z Humnisk (z 30 figurkami). Ogółem w Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku znajduje się 15 szopek.

Inicjatywa sanockiej placówki okazała się niezwykle cenna i przyniosła nadspodziewane wyniki. Zakupione szopki świadczą, że i w naszym województwie istnieją bogate tradycje tej sztuki ludowej. Do jej rozwinięcia przyczyni się niewątpliwie konkurs na najpiękniejszą szopkę, który planuje z okazji Dni Folkloru Pogórza Dynowskiego zorganizować Wydział Kultury Prezydium PRN w Brzozowie. Zanim jednak to nastąpi, szkoda, że już obecnie nie potrafiono — jak np. w Krakowie — wyko-

(Ciąg dalszy na str. 7)



Jan Grygiel

Osiedle z świątecznej pocztówki?...

Zjeżdżając krętymi serpentynami z góry, od strony Kulasznego spoglądałem co chwile, przy sprzyjających zakrętach na leżącą pod nami Rzepedź. Wyglądała jak landszafcik z konwencjonalnej pocztówki świątecznej, słonecznie, zimowo i sielankowo. Barwne osiedle w głębokiej kotlinie górskiej z wymierzonymi prościutko w niebo wstążeczkami dymów, w obramowaniu świerków uginających się pod czapami śniegu. Oaza szczęśliwości zagubiona w surowym górskim pejzażu.

Dopiero na samym dole obok osady wylania się oczom fabryka stanowiąca zgrzytliwy dysonans w tej Arkadii, mimo że sielankowa osada jej właśnie zawdzięcza swe powstanie.

Kombinat Drzewny w Rzepedzi po raz pierwszy przeciął ciszę tej kotliny warkotem pił w dniu 10 grudnia 1962 roku. Rozmawiam o tym małym jubileuszu z dyrektorem d/s technicznych inż. Janiszewskim — słucham jego informacji o wykonywaniu planów produkcyjnych, o rozwoju zakładu, wysokim stopniu jego mechanizacji, ale wciąż powstrzymuję pytanie czy istotnie tak sielankowo żyje się tu ludziom jak to wygląda z góry, jaka właściwie jest ta najmłodsza bieszczadzka osada, jak tu ludzie spędzają wolny czas. To mnie interesuje znacznie żywiej niż sprawy techniczno-produkcyjne. Skrętnie łowią w rozmowie elementy, które mogą złożyć się na obraz tego małego środowiska. Dowiaduję się, że w kombinacie pracuje około 700 ludzi — z tego 152 osoby mieszka w osiedlu przyzakładowym, a przeszło 500 dochodzi lub dojeżdża do pracy z bardzo nieraz odległych wsi. Słyszę, że zdecydowana większość robotników po raz pierwszy zetknęła się z maszynami i duże zmechanizowanie warsztatów pracy stanowi dla nich nie lada problem. Niełatwo od kosi, sierpa i siekiery przejść nagle do elektrycznych traków, pił i frezarek o iluś tam tysiącach obrotów na minutę. Stąd częste wypadki, gdyż każda chwila zagapienia się lub lekkomyślności musi w tych warunkach drogo kosztować.

Notuję, iż załoga nie stanowi jeszcze zwartej, skonsolidowanej grupy i jest za mało stabilna — ludzie zmieniają się tu często. Sporo tu „niebieskich ptaszeków” szukających w Bieszczadach łatwego szczęścia, sporo pracowników po wyrokach sądowych, nie mało takich, którzy nie potrafili się przystosować do dyscypliny nowoczesnej fabryki. Przychodzą na stanowiska pracy podpić czy zmęczeniu całonocną zabawą i niszczą maszynę lub tracą palce. Istnieje jednak już stały trzon załogi złożony z doświadczonych i wartościowych robotników, związanych uczuciowo z zakładem. Na nich można zawsze liczyć.

Przeprowadzam w myśli hipotetyczne obliczenia. Skoro pracuje tu około 700 robotników, to kombinat w Rzepedzi jest źródłem dochodu dla około 2 tysięcy ludzi (z uwzględnieniem rodzin). Skoro

tylu ludzi dojeżdża, to zakład stanowi szkołę postępu technicznego i cywilizacyjnego dla wielu okolicznych wiosek, żyjących dotąd w biedzie, ciemnocie i zacofaniu — dla Rzepedzi - wsi, Turzańska, Prełuków, Mikowa lub Czystohorbu. I to się liczy chyba jeszcze więcej niż osiągnięcia produkcyjne zakładu. Tylko nie trzeba się niecierpliwić — kombinat pracuje dopiero 5 lat — nie od razu zdola sobie wychować kadrę wykwalifikowanych, zdyscyplinowanych pracowników z tych wiosek i nie od razu zmieni oblicze tych wsi. Ten krzepiący wniosek wynika z mojej rozmowy z dyrektorem.

W kolorowym osiedlu rozłożonym wokół zakładu mieszka około 600 ludzi. Mieszka w warunkach istotnie sielankowych, w niedużych kilkunastu budynkach, może tylko o zbyt płaskich dachach, jak na Bieszczady i zbyt przeszklonych, jak na zimowe wichry, ciągnące tą doliną od Przełęczu Łupkowskiej. Widocznie projektanci nigdy tu nie byli. Mieszkańcy osiedla korzystają z dużej, nowoczesnej szkoły, z przedszkola, z panoramicznego kina „Mozajka”, z biblioteki osiedlowej i NOT-u oraz świetlicy z czynnym telewizorem w hotelu robotniczym. Obiady mogą jadać w dużej i dość czystej restauracji GS-u, a zakupów dokonywać w 3 sklepach osiedlowych. Ponieważ w kombinacie powstaje nowy oddział płyt wiórowych, wzrosła ilość robotników, i dla nich dyrekcja zamierza zbudować jeszcze jeden blok mieszkalny. Znajdzie w nim także pomieszczenie ośrodka zdrowia i apteka. Na dachach bloków błyszczy wiele anten telewizyjnych. Kiedyś odbiór programu telewizyjnego był prawie niemożliwy w tej głębokiej dolinie, więc załoga kombinatu zbudowała w czynie społecznym wieżę przekaźnikową na jednym z okolicznych wzgórz. A więc warunki socjalne, usługi i warunki mieszkaniowe wymiarzone. W każdym mieszkaniu światło elektryczne i centralne ogrzewanie. Dodajmy — znakomite powietrze w zdrowym mikroklimacie kotliny górskiej nad malowniczą Oslawą.

Czy równie znakomite warunki rozrywki, spędzania wolnego czasu i odpoczynku? Rozmawiam z kierowniczką hotelu robotniczego w jej biurze, które równocześnie pełni funkcję świetlicy. Pokój nieduży, może w nim równocześnie oglądać program telewizyjny tylko kilkanaście osób. Wprawdzie ZMS dysponuje drugą świetlicą z telewizorem, ale jest ona stale zamknięta. Widocznie nie najlepiej z aktywnością i działalnością k.o. ZMS-u, skoro nie potrafi zorganizować dyżurów w świetlicy. W jednym z pokoi hotelu pytam mieszkanki o to, jak najchętniej odpoczywają. — Telewizja w świetlicy — odpowiada jedna — program w kinie dwa razy w tygodniu, książki z biblioteki. Ale prawie wszystkie ciekawsze już czytałam — zbyt rzadko

dokończenie ze str. 2
zmienia się w bibliotece księgozbiór. Można jeszcze jechać raz w tygodniu na dancing do Komańczy i to już wszystko. Innych możliwości nie ma... Czy im to wystarczy? — Przez rok — dwa można wytrzymać, ale dłużej już trudno... Za cicho tu, za spokojnie — nic się nie dzieje.

W innym pokoju mieszkańcy uparcie wymachują drutami wpiętymi w pasma włóczki... — Robimy swetry, szaliki, skarpety przez całą zimę i nie nuży się... Poza tym jest telewizja. W lecie mieszkamy w domu i dojeżdżamy do Rzepedzi.

W tym dużym hotelu, prawie komfortowo umeblowanym i wyposażonym mieszka 80 osób z różnych stron województwa. Są tu dziewczyny i chłopcy z pow. jasielskiego, leżajskiego, brzozowskiego, przemyskiego, a także z Częstochowy, Łodzi, Żywca itd. Mieszkają po 4 osoby w ciepłych, czystych pokojach i nudzą się. Niektórzy rozpieszczeni ciepłarnianymi warunkami awanturują się ze sprzątaczką, że im nie wymyła muszli umywalni w pokoju lub nie starła kurzu ze stołu, i to tacy, którzy wodę do mycia noszą ze studni odległej o pół kilometra. Nudzą się, bo nie ma zespołów artystycznych, nie ma klubów sportowych, nie uprawia się turystyki, słowem, istotnie nic się nie dzieje. Ale to właśnie chyba wina młodzieży z Rzepedzi. ZMS — jak się rzekło wyżej, nie przejawia żadnej działalności; rada zakładowa dysponuje instrumentami muzycznymi, ale nie można skompletować zespołu instrumentalnego, gdyż nikt nie ma ochoty grać; kierowniczka hotelu usiłuje utworzyć zespół teatru lalek — idzie jak po grudzie, mimo iż dyrektor „Kacperka” z Rzeszowa, p. Siedmiograjowa, przekazała bezpłatnie młodzieży z hotelu cały komplet lalek i kostiumów do paru sztuk. Nawet do pracy nad dekoracjami i czapeczkami na bal noworoczny nie można nikogo zwerbować, mimo że to przecież młodzi będą się tam bawili.

Na bierność, rozleniwienie i brak jakiegokolwiek aktywności społecznej i kulturalnej w osadzie narzekają wielu moich rozmówców: nauczyciel tuższej szkoły, p. Kawa, kierownik hotelu turystycznego „Bieszczady” i przygodnie spotkani przechodnie. Najchętniej — mówią — młodzież spędza czas w sali restauracyjnej. Mimo, iż w całej Rzepedzi nie sprzedaje się wódki ani wina (dyrekcja kombinatu wprowadziła słuszną ostrą prohibicję), kurzy się chłopakom z czupryn, dochodzi do kłótni, bójek i do awantur w budynku hotelu. No

cóż — Komańcza blisko — można 6 km przejechać pociągiem i tam zaopatrzyć się w restauracji w zapas „wody ognistej”. Dolana później tu w Rzepedzi do piwa, działa niezawodnie i mimo wszystko powoduje później wypadki przy piłach. Najwyraźniej to widać w czasie nielicznych zabaw organizowanych w sali restauracyjnej — wtedy w oparach alkoholu działają pierwotne instynkty, odzywają się konflikty i antagonizmy między tymi z Turzańska i tymi z Żywca, między stażystami i młodymi robotnikami. Dlatego zabawy odbywają się tu rzadko. Z dancingu zaś w Komańczy można łatwo wrócić z nożem w plecach — tam również „temperamenta” grają — odzywają wspomnienia z okresu krwawej historii tych gór.

Może zabrakło również w osadzie, czy zakładzie, organizatora życia społecznego z prawdziwego zdarzenia, który mógłby zdobyć pełne zaufanie młodych i poświęcić im wiele czasu? Wprawdzie dyrekcja poświęca aktywizacji życia kulturalnego, społecznego i sportowego wiele uwagi (zamierza m. in. rzucić hasło budowy skoczni narciarskiej i wyciągu narciarskiego, strzelnicy sportowej, przyrzeka, iż w najbliższym czasie wygospodaruje lokal na klub młodzieżowy), wprawdzie wiele wysiłku dla rozkręcenia działalności kulturalnej daje z siebie kierowniczka hotelu robotniczego, ale to nie może wystarczyć. Tu powinien znaleźć się doświadczony działacz pracujący etatowo, wspar ty pomocą ze strony nauczycieli i działaczy partyjnych w osadzie. Chodzi tu bowiem nie tylko o zaspokojenie potrzeby wywyższenia się kulturalnego ludzi z osady, o przeciwdziałanie nastrojom stagnacji skłaniających pracowników kombinatu po dwóch, trzech latach do wyjazdu w inne strony. Najważniejsze jest to, by młodzież wsi miała po co przyjeżdżać do osady, by tam znalazła rozrywkę, wzór działania, sekcje i kluby sportowe — słowem, by Rzepedź stała się nie tylko promieniującym na okolicę ośrodkiem gospodarczym, lecz także szkołą kultury, nowego obyczaju i cywilizacji. Wtedy znikną noże w plecach na dancingu w Komańczy i procesy o czary w Turzańsku. Integracja społeczna, w tym górskim zakątku — zanik konfliktów i antagonizmów może bowiem nastąpić jedynie w wyniku wyłożonej pracy, wielu starań i wysiłków wynikających z pasji społecznej młodych. Na razie jeszcze dość daleko górskiej osadzie do sielanki z „poetycznej”, świątecznej powantur w budynku hotelu. No



Rzepedź

Fot. M. KOPEC

Wielka oaza

dokończenie ze str. 1

zespół warszawskich naukowców z prof. dr Z. Filipowiczem i prof. dr J. Chmielewskim. Słowa uznania o planie wypowiedział uczonej tej miary, jak prof. dr W. Goetel, będący znawcą zagadnień ochrony przyrody i jej zasobów. W środowiskach naukowych plan i projekt uchwały Rady Ministrów zyskały życzliwe poparcie, którego udzielają także związki zawodowe. Miał jednak rację sympatyczny nauczyciel geografii, gdy mówił, że trzeba ten kompleks spraw spopularyzować w społeczeństwie. Ważny tu jest i taki aspekt zagadnienia; wspomniane dokumenty i opracowania niewątpliwie pobudzą aktywność lokalnych władz i chyba także mieszkańców zainteresowanych miejscowości.

Z konieczności ograniczyć się tylko do niektórych spraw. Na wstępie słów kilka o historii; po 1947 r. jedynym gospodarzem Bieszczadów była przyroda, która w niektórych partiach tych gór niepodzielnie panuje po dzień dzisiejszy. O zagospodarowaniu zaczęto myśleć po ostatecznym wytyczeniu granicy państwowej, gdy w pow. ustrzyckim zjawili

się osadnicy. Najpierw rozpoczął tu działalność resort leśnictwa, budując kolejki, drogi i osady leśne. W 1955 r. rząd wydał specjalną uchwałę; podjęto próby rolniczego zagospodarowania, nie wszystkie zresztą udane. Zadania na lata 1959—1965 wyznaczyła uchwała KERM, znana potocznie pod nazwą „uchwały bieszczadzkiej”, przy czym termin „Bieszczady” był pojęciem nie geograficznym, lecz administracyjno-gospodarczym: Bieszczady w tym rozumieniu obejmowały trzy powiaty: sanocki, leski i ustrzycki.

Nie będę wymieniał wszystkich zadań, na które przeznaczono przeszło 3 mld zł, a wykorzystano nieco ponad 2,5 mld. Budowano m. in. drogi, Myczkowce, Solinę, kombinat w Rzepedzi, szukano rozwiązań rolniczego zagospodarowania, długo dyskutując o strukturze własnościowej oraz alternatywie: zboże czy hodowla. Po 1965 r. dalszy rozwój odbywał się w oparciu o uchwałę WRN, w sprawie zagospodarowania 7 powiatów południowych, od gorlickiego po przemyski. Wyłoniła się konieczność opracowania koncepcji przestrzennego zagospodarowania terenów górskich. Dla geografów sięgają one po linię kolejową Dębica — Przemysł; planiści przesunęli ją dalej na południe, przyjmując dwa kryteria: czynniki naturalne oraz słabe zagospodarowanie. W sumie rejon górski obejmuje 26 proc. powierzchni województwa, 9 proc. ludności; miejscowy przemysł daje rocznie 3 proc. globalnej produkcji.

O bogactwie rejonu decydują morfologiczno-krajoznawcze walory, piękno zróżnicowanych mikrorejonów z osobliwościami fauny i flory, koncentracja źródeł wód mineralnych, a ponadto lasy i znaczne zasoby czystej wody i czystego powietrza... A więc wszystko, co jest człowiekowi potrzebne dla zachowania i odnowy jego sił, oraz dla zaspokojenia potrzeby doznań estetycznych. Jakie niesie obcowanie z przyrodą. Stąd generalna teza, o której już wspominałem. Dość powiedzieć, że na tych ponad 300 tys. ha może przebywać jednocześnie 600 tys. turystów, wczasowiczów i kuracjuszy. Nawiasem mówiąc, za granicą przyjmuje się dwukrotnie większą normę zagęszczenia turystami, nie dwie, lecz cztery osoby na hektar.

Występuje także ropa, gaz, różnorodne już odkryte i domniema-

ne minerały, ale gospodarcze wykorzystanie tych surowców nie może pozostawać w sprzeczności z założeniami planu; nie ma więc miejsca dla przemysłu uciążliwego, niszczącego naturalne warunki. Powstaną tu zbiorniki wodne, odpowiednia sieć dróg i zaplecze gospodarcze dla turystyki, sportu i uzdrowisk, o czym szczegółowiej opowiem za tydzień.

A teraz słów parę o autorach planu. Właściwie to niewiele mogę powiedzieć, bowiem mgr T. Dudziński, kierownik WPPR w tym punkcie zachował powściągliwość, natomiast o samej koncepcji mówił ze swadą i znanstwem różnych dziedzin i dyscyplin, przytaczał argumentację, która podważa zastrzeżenia sceptyków. Słowem mgr Dudziński umie przekonywać, a chodzi przecież o kolosalne przedsięwzięcie, mające szacunkowo kosztować 13 mld zł.

Zespoły autorów planu składają się z 17 projektantów i starszych projektantów, wraz z kierownikiem Pracowni i jego zastępcą. Są to specjaliści z zakresu: rolnictwa, leśnictwa, ekonomiki, planowania, geografii, hydrologii, komunikacji. Przestrzenne planowanie regionalne wymaga wysokich kwalifikacji i chyba daru wyobraźni, żeby nie powiedzieć talentu. Rzeszowska Pracownia ma już za sobą plan zagospodarowania Zagłębia Sierakowskiego; projektanci są emocjonalnie bardziej zaangażowani drugim swoim dzieckiem, planem górskim. Jego autorzy nie korzystali w zasadzie z doświadczeń zagranicznych, bo wyjazd np. do Austrii czy Szwajcarii jest dla rzeszowskich specjalistów raczej trudny. Musieli więc zdać się na własne siły.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że u źródeł sukcesu leży uzgodnienie dwóch punktów widzenia: praktyków i naukowców. Konsultantami Pracowni byli już wymienieni naukowcy, którzy dali naukowe przesłanki zagospodarowania przestrzennego, sprecyzowali koncepcję wykorzystania tych terenów dla odnowy sił człowieka. Szczególnie duży wkład wnieśli specjaliści w zakresie nowoczesnej pojętej ochrony przyrody i jej zasobów. Pisze o tym dla podkreślenia merytorycznych wartości planu, który już wkrótce znajdzie się na forum Rady Ministrów.

ZDZISŁAW KOZIOL



Bieszczady

Fot. M. KOPEC

muszkatołową — zaszywa, znowu wrzuca kostkę masła do brytfanny, nie spuszcza brytfanny z oka, parzy palce, piecze parę godzin, polewa, studzi, krąje i je. Pani zaobserwuje minę męża, jak jej!

Pani wie, że jajka były po dwa dziewięćdziesiąt?!

Pani wie, że sznurek grzybów suszonych — to stowa?

Pani wie, że mój syn oszalał i chce mieć bilard za 340 złotych, a drugi syn gitarę o bardzo dziewczęcej nazwie Alka?

Pani wie, że kupiłam tym marzycielom płytę z kolędą

ność była śpiąca i syta. Myślny też w skład tej publiczności wchodzili! Nie, oczywiście, że wybaczę pani tę syta publiczność... W tym roku będzie „Trędowaty” — za dużą przyjemność, by się jej pozabawić i ja naprawdę, rzeczywiście i na serio nie znam Mniszkówny. Czy pani przypadkiem nie wie, gdzie to by można wypożyczyć.

Jedyny abonent w książce telefonicznej na literę E — rencistka

— Święta będą nietypowe, bo prawdopodobnie wyjedziemy

Wielki łowczy, czyli przewodniczący Woj. Zarządu Państwowego Związku Łowieckiego

— Mam za sobą dwie siódemki wieku, zawał serca i namiętność do polowań. Dlatego tak bardzo zazdroścę myśliwym, że 24 grudnia spędzą w kniei i na polach już bez mnie. Odbędą bowiem tradycyjne wigilijne polowanie we wszystkich łowieckich kołach naszego województwa i upolują choćby jedną sztukę zwierzyzny łownej, a jeśli nie łownej — to bodaj jednego szkodnika: może wronę siewa, może jastrzębia gołębiarza. Naturalnie nie tego im życzę, lecz łupu największego tzn. 79. wilka, bo 78 już tego roku dostało się pod nasze fuzje.

Nie mogę z nimi pojechać, bo niewymownie przykro byłoby mi patrzeć na strzelby, na ten cały nastrój świątecznego polowania i nie brać w nim udziału; przeto usiadę sobie przy stole, zjem pasztet ze znanego strachajły polskich lasów — czyli zajęca i będę wypoczywał, oczywiście zawsze, a więc i w tym roku, przy lekturze łowieckiej.

Starsza referentka rozliczeń Wytwórni Wód Gazowych

— Jakby na złość co roku dopiero na pięć przed dwunastą zaczyna się seria zamówień i życzeń tak potężna, że gdybyśmy jej z praktyki i doświadczenia nie przewidywali, to mało byłoby pracować przez całe święta i następny tydzień poświąteczny... Ale my przewidujemy — lećmy co prawda z nóg, diabli nas biorą, że zakłady gastronomiczne i przedsiębiorstwa turystyczne wcześniej nie przewidziały zwiększonego popytu i staramy się rozliczyć wszystkich sprawliwie oraz wykroić dla siebie kawałek świąt.

Moje święta, to już dziś kupioną bilet do pięknego Sandomierza, gdzie mieszkają rodzice, już dziś przygotowana krągla szyneczka i pół litra czegoś pod nią i już dziś rodząca się radość ze świąt spędzonych w rodzinie. A wyglądają one tak, że my 40 co najmniej domowników ścigamy do rodziców z całej Polski, w olbrzymiej kuchni ustawiamy wszystkie stoły, tata zabiera wszystkie ławki z ogrodu, stoły się uginają od jedzenia wigilijnego, o dwunastej w nocy wędrujemy przez ośnieżone, najpiękniejsze w Polsce miasto, dzwony dzwonią na pasterkę, świerki ośnieżone szepczą swoje tajemnice, odprowadzamy sandomierzan z rodziny do domów, a sami z mężem wracamy do ojca i matki, i bierzemy się do zmywania garów, które trwa czasem do białego rana. Powie ktoś, że nie odpoczniemy? Ależ to najpiękniejszy odpocznik, kiedy ujmie się wysiłku spracowanym rękami matki, oglądanej raz do roku, kiedy doceni się staropolską gościnność rodziców, którzy też raz do roku postanawiają zabić świnia, zapożyczyć się, a dać nam odczuć posmak staropolskich, solidnych, nastrojowych świąt. Kocham tam jeździć, bo czuję, że już nic w życiu nie zdoła mi zastąpić nastroju domu rodzinnego podczas świąt, tej atmosfery serdecznej gościnności, uroku niepowtarzalnego.

Toteż gdyby pani redaktor kiedyś zechciała do Sandomierza, może w lecie — serdecznie zapraszam w imieniu rodziców, którzy tak bardzo, bardzo cieszą się gościami.

(I tu się rozrzewniałam, bo zrozumiałam, że staropolska gościnność — to rys narodo- wy, a więc po trosze i mój, i twój, i wasz, i niechże on nigdy nie wyginie, bo życie straciłoby jeden z nie najmniejszych przeciw sensów).

Suflerka Teatru im. W. Siemaszkowej

— Bardzo lubię pracować, przeto swój dyżur świąteczny przy „Cyganach z Andaluzji” pojmuję jako zrzadzenie losu, które daje mi świetną odpowiedź na „co robić w świę-



ta”, względnie „jaką suknię włożyć”. Mój własny dziesięcioleciek będzie w tym czasie cieszył się choinką; ja będę starała się wyrównać mu gotowanie na trzy dni naprzód, miłym nastrojem i prawidłową ilością witamin; nie będzie za dużo mięsa, bo podróżowało; będę oglądać telewizję, czytać prasę i studiować podstawową psychologię — bo na wyższą jeszcze za wcześnie, właśnie dlatego, że zdaję sobie sprawę z powagi tej nauki, pasjonującej mnie zupełnie prywatnie.

Kasjerka kina „Zorza”

— Kultura musi pracować, żeby inni mogli wypoczywać! Dlatego nawet jeśli 10 osób przyjdzie do kina — to ja muszę dla nich być uśmiechnięta, sprzedać im te 10 biletów i czekać, aż film obejrzą. Co roku mam te dyżury i już do nich przywykłam. Marzę sobie, siedząc za okienkiem kasy, o świątecznym serowcu, makowniku, o tym, czy mamie udał się karp po żydowsku i mam błogą nadzieję, że w ten wolny dzień od pracy telewizja pokaże ciekawy teatr, teleturniej, że wszystkie jej programy będą się nadawały dla dzieci, z którymi naprawdę nie wiadomo, co w święta zrobić, jeśli wygania się je od telewizora... A tak naprawdę, to chciałabym, żeby dużo ludzi przyszło na seanse świąteczne, bo zawsze człowiekowi wtedy weselej.

Informator kolejowy 38-36

— Co to kogo obchodzi, jak ja spędzę święta? Co to mnie obchodzi, co pani robi, a panią co obchodzi, co ja robię? Co to kogo obchodzi, co ja będę jadł na śniadanie?

— Przepraszam pana, ale



Można by ciągnąć te rozmowy w nieskończoność, lecz z żalem za ich niepowtarzalną atmosferą — muszę kończyć. Anim się spostrzegła przy oglądaniu cudzego życia, jak upłynął kęs czasu, jak ono mnie wciągnęło, jak po trosze moim się stawało. Dziękuję przeto wszystkim tym, którzy zapraszali mnie na świątecznego indyka (bo zaproszeń było dużo i bardzo serdecznych); tych zaś, którzy się nie zmieścili w druku pocieszam, że i tak w którejs z rozmów odnajdą swoje własne plany świąteczne, bardzo z polską pojmovane właśnie w sferze gościnności, serdeczności. Zatem — do usłyszenia w przyszłym roku — oby jak najurodzajniejszym w pomysłność dla ludzkiego rodzaju!

KRYSZYNA SWIERCZEWSKA

polskie święta

big-beatową i drzę o spokój wigilijny? Ja się naprawdę śpieszę, ale gdyby pani miała ochotę, czas i nerwy na big-beat — zapraszam na indyka...

Jeden z trzech dyrektorów PKS

— Nie ma świąt dla ciężkiego transportu!

My pracujemy — my to znaczy nie tylko kierowcy, konduktorzy, ale cała niemal służba administracyjna. Pełnimy tzw. dyżury domowe, siedząc pod telefonem i słuchając przeważnie niemitych sercu interwencji, zawiadomień o awariach. Czasem rzeczy są drobne i do usunięcia, czasem — rzadziej zresztą — poważne, często — to tylko zdenerwowany pasażer, którego nie zabrał przepełniony autobus, korzysta z okazji, że mój numer telefonu jest ogólnie dostępny i mówi gdzie ma to wszystko; zawsze natomiast — warzy się świąteczny nastrój i robi w domu dość... zimowo. Cóż wtedy robię? — Liczę na dobry, na nadzwyczajny, na prawdziwie świąteczny program w telewizji! Równoległe do tych przewidywań marzę, że kursy bisowe naszych autobusów zabiorą wszystkich świątecznych podróżnych, że jak najmniej będzie telefonicznych relacji z cudzych zdenerwowań. Tego więc im i sobie życzę...

Dentystka

— Co ja będę robiła w święta? Było tak dużo projektów: najpierw, że wycieczka do Kairu, później marzenia potaniały i był Sylwester na Węgrzech, no i naturalnie Budapeszt nocą, jeszcze później dyżur męża — lekarza wykluczył wycieczki zagraniczne, więc zostajemy w kraju, ale nie w Rzeszowie. Jeszcze nie jesteśmy tak starzy, by siedzieć w domu, więc pakujemy co tam mamy w moskwicę i pędzimy do przyjaciół, do Krakowa. Myślę, że rozplanujemy czas identycznie jak w ubiegłym roku — tzn. drugi dzień świąt w Jamie Michalikowej. Pamiętam, jak pisała pani o ubiegłorocznym programie Jamy, że publicz-

do Łodzi, a potem do Warszawy na ślub kogoś bliskiego. Nic więc nie przygotowuję, nie planuję, nie kupuję. A tak w ogóle — spędzamy je zawsze nader spokojnie, czasem tylko z przyjaciółmi, przeważnie we dwoje z mężem. Lektura? — pękaty „Przekrój”, który należy usystematyzować według numeracji, „Zwierciadło”, no i zawsze, obowiązkowo, absolutnie „Nowiny Rzeszowskie” — przestudiowane od deski do deski.

Milicjant dyżurny spod numeru 97

— Tak, mam dyżur w wigilię od 23 do 7 rano oraz w drugi dzień świąt od 7 rano do 15 — a więc w czas na ogół spokojny. Wcalesmy znowu w



Rzeszowie nie tacy niespokojni — wcale niedużo pijaków, wcale niedużo awanturników; zatem wcale te dyżury nie należą do najgorszych.

A w domu? — troszkę na łonie rodziny, troszkę na łonie telewizji, troszkę, ale rzeczywiście troszkę przy stole. Bo któż w końcu lubi, by o nim mówiono: przejeżdżony?

Panienska z międzymiastowej

— Będę pełniła dyżur świąteczny pierwszy raz; ja w ogóle pracuję trzy miesiące; ja marzę o studiach na wydziale automatyki Politechniki Gliwickiej, gdzie dostać się w tym roku mi się nie udało. Dyżur pewnie będzie przyjemny; lubię łączyć rozmowy świąteczne, gdzie dużo życzeń, radości, wesela.

Zaś w ten drugi wolny dzień powinno się zdarzyć coś wesołego: może udana randka, może jakaś prywatka? Może parę godzin w gronie młodych przyjaciół? Co by zresztą nie było — wszystko będzie dobre!

(Naturalnie — i tu komentarz odredaktorski — jak wszystko może nie być dobre, kiedy jest się po maturze, marzy o politechnice, ma sympatycznych przyjaciół i własne, niepowtarzalne 18 lat?)



NA NASZYM EKRANIE

Film amerykański „made in Europa”

Dbalność o nasze dobre trawienie ze strony dystrybutorów filmowych jest rzeczą godną pochwały. Z ekranów bije w nas fala rozrywki. „Wikingów” zmieniają „Waleczni przeciw rzymskim legionom”, tych z kolei „Testament Inków”, zaś na same święta wchodzi w Rzeszowie na ekran wygrzebany z lamusa amerykański film sprzed 12 lat „Quentin Durward”.

Oczywiście tytuł filmu mówi niewiele, jest to bowiem nazwisko bohatera powieści Waltera Scotta, a ktoś z nas dzisiaj czyta tego romantycznego pisarza. Powieść zaś przeniosł na ekran Amerykanin, amator twórczości Scotta (sfilmował już kiedyś „Iv nhoé”) Richard Thorpe, reżyser w Polsce raczej nieznan, choć jego filmy o Tarzanie eks-

marginesie tego filmu poczynić pewne spostrzeżenia na temat amerykańskiej filmowej zachodnio-europejskiego, czy jak kto woli, europeizacji filmu amerykańskiego.

„Quentin Durward” wyprodukowała wytwórnia Metro-Goldwyn-Mayer, a więc stara firma hollywoodzka. Wyprodukowała według recepty dość popularnej ostatnio w USA, a obliczonej z buchalteryjną księgą w rękę.

Recepta ta brzmi: bierze się utwór autora o powszechnie znanym nazwisku, przerabia na amerykańską modłę, nakręca w Europie (bo taniej), daje jedną (lub więcej) gwiazdę amerykańską (by przyciągnąć publiczność w USA), jedną lub kilka gwiazd europejskich (by ściągnąć widownię na starym kontynencie) — i gotowe. Stara wersja recepty przewiduje, że film reżyseruje Amerykanin, nowa — dopuszcza utalentowanych i mających już pewien rozgłos reżyserów europejskich.

„Quentin Durward” powstał według starej wersji. Richard Thorpe rolę tytułową powierzył hollywoodzkiemu gwiazdorowi o słynnym ongiś imieniu i nazwisku Robert Taylor, za partnerkę dał mu uroczą Angielkę czy budoj nawet Szkotkę Kay Kendall (umiera w kilka lat po nakręceniu tego filmu) i popularnego komika angielskiego Roberta Morleya, a plenery filmu zrealizował we Francji, korzystając z autentycznych, pięknych zamków średniowiecznych w dolinie Loary.

Skutek recepty jest taki, jak u pewnego lekarza, który na żądanie pacjentki uznającej tylko lekarstwa w zastrzykach, przepisywał jej jakiś obojętny płyn w fiolkach: nie pomagało to, ale i nie szkodziło. To samo można powiedzieć o filmie Thorpe, który jest filmem słabym, ale nieszkodliwym. Bardzo młodym widzom może się nawet spodobać, mnie nie zachwycał, nawet Taylor i Kendall (jakkże pamiętna z „Les Girls”) nie wznieśli się nad przeciętność, jedynie Robert Morley tworzy jakąś kreację w roli króla Ludwika XI. Jest to jedyny człowiek, a nie kukietka, w tym filmie. Jest śmieszny, ale zarazem budzi szacunek, jest ludzki.

Niestety, stara amerykańska recepta zaczyna być coraz częściej w obiegu. Inwazja producentów hollywoodzkich na Europę trwa. Jak donosi prasa zachodnia, w najbliższym roku zamierzają oni zainwestować w realizację filmów tylko we Włoszech 50 milionów dolarów. (sz)



Na zdjęciu: Robert Taylor i Kay Kendall w filmie „Quentin Durward”.

cytowały tuż po wojnie dziesiętych ... dziesiętlatków.

Film jest z gatunku „płaszczka i szpada”. W XV wieku młody Szkot Quentin Durward przybywa do Francji, by oszarcować majątek i urodę oraz sprowadzić do kraju młodszą księżną Izabellę, narzeczoną jego panującego wujka. We Francji przeżywa mnóstwo przygód, ponieważ narzeczona ucieka z zamku swego opiekuna, chroni się na zamku królewskim, potem znów wyrusza do zamku biskupiego, by w końcu wyładować tam, skąd ucieka. Wojaże jej wywołują w kraju wiele zamieszania, dochodzi do zdrażnień politycznych, grozi wybuch wojny domowej itp.

W podróży towarzyszy naszej bohaterce pan Durward, który gracko walczy z nastłanymi na piękną panią bandytami, zwinnie wspina się po murach i drzewach, zrecznie likwiduje królewskich strażników. Co z tego wynika — nie powiem, sądzę, że to już wystarczy, by wytrawny kinoman zorientował się, z jakim dziełem ma do czynienia, chciałby natomiast na



Krystyna Ptaszek — fletistka Państwowej Filharmonii w Rzeszowie.

rys. J. Sienkiewicz

Kazimierz Chyła

Myśli

Są ludzie, którzy noszą myśli w uniformie. Często nie dostrzegamy problemów, które depcą nam po piętach.

Ludzie z wątpliwościami pełniej poznają prawdę. Najgroźniejsze bywają zera z kompetencjami. Z tysiąca różnych pasji szewska mu tylko pozostała.

Często zmienia maski, ażeby nie spowszedniały. Niektórzy prelegenci przemawiają przez kalkę. Niekiedy ludzkie wnętrza bywa tylko zaściankiem. Chuligan umiera czasem śmiercią naturalną. W ulicznej bójce.

Przypiał skrzydła i czeka na pomyślny wiatr. Niektórzy wnoszą okrzyki na własną cześć. Na obcej licencji wszedł do literatury. Niekiedy krytyka wmawia talent bardzo mierzonym pisarzom.

Aforyzmy

Księżyc niepokoi morze, jak kobietę.
Ernest Hemingway

W jakich cię tęsknych pieśni zamknąć, jaki wiersz wzniecić, by nad tobą płoń, o morze polskie, któreś Europę owiało flagą białą i czerwoną.
Witold Zechenter

Wieloryby mają poczucie nonsensownego humoru: wnoszą fontanny na morzu.
G. K. Chesterton

Woda jest najlepszym napojem, ale bądź skromny i pamiętaj, że nie musisz używać wszystkiego co jest najlepsze: zadowolnij się piwem.

STARY WILK MORSKI

Wybrał i przełożył: Fr. Swarzyca

Jak wygląda szczęście

Rozmawialiśmy o szczęściu. Mój przyjaciel powiedział, że najważniejsza rzecz to zdrowie. Szczęście wcześniej czy później zjawia się samo pewnego dnia, o świcie lub o zachodzie słońca, o północy albo w samo południe.

Zaczęliśmy się zastanawiać, jak wygląda szczęście.

— Ma dziwne kształty — powiedział mój mądry przyjaciel. — Czasem jest jasnowłose. Czy ma niebieskie jak ultramaryna — niewinne oczy, skromne takie. Niepozorne a głębokie jak Ocean Spokojny. Ramiona na szyję ci zarzuci. Pocatunek ci złoży na ustach. I zaraz

czujesz się równy bogom. To właśnie jest szczęście.

Słowa przyjaciela wywarły na mnie wielkie wrażenie. Przypomniałem sobie, że ja spotkałem kiedyś szczęście, które było zupełnie białe. Oczy miało czarne jak węgiel. Stało na deszczu, drżało z zimna. Ująłem je za rękę i chciałem zaprowadzić do wielkiego miasta, do pięknego hotelu, chciałem je obuć w złote pantofelki i obypać drogiemi kamieniami.

— I co? zapytał mój przyjaciel. Nie chciała tych drogie kamienie?

— Nie, nie chciała. I w ogóle nie chciała pójść ze mną, bo gęsi pasa-

ła i bała się, żeby te gęsi nie zabiły.

— A te drogie kamienie? — zapytała moja żona, która dotychczas przysłuchiwała się milcząco — gdzie masz te drogie kamienie?

— Tych drogie kamienie nigdy nie miałem. Skąd do mnie drogie kamienie? Zawsze byłem skromnym, biednym człowiekiem, który lubi pomarzyć.

— Tak — zgodził się mój przyjaciel. — Kiedy człowiek ma odrobienie wyobraźni, zawsze znajdzie powód do szczęścia.

K.S.

ZDARZENIA PYGONIA

Posiedzenie jury „II Jesiennych Konfrontacji” jest niewątpliwie okazją przypomnienia o tej, o ogólnopolskim zasięgu imprezie artystycznej. Wcześniej można było się spodziewać jednak wypowiedzi na temat wystawianych w Domu Sztuki nadesłanych prac. Jeśli jednak to nie miało miejsca, podajemy wyniki werdyktu, wydanego przez oficjalnie powołany sąd do oceny nadesłanych prac, który pod przewodnictwem Alfreda Lenicy, przewodniczącego sekcji malarstwa Zarządu Głównego Związku Polskich Artystów Plastyków, dokonał oceny wystawianych prac.

Jury konkursu oceniło więc 140 prac 83 autorów, nadesłanych na wysawę. I tak, dwie i równorzędne nagrody przypadły w udziale Eugeniuszowi Lepertowi z Wrocławia i Januszowi Sternowi z Krakowa... Dwie II równorzędne nagrody uzyskali Lech Kunka z Łodzi i Stanisław Tejsyre z Poznania. Również dwie III nagrody przypadły w udziale Zygmuntovi Czyszowi z Rzeszowa i Juliuszowi Joniakowi z Krakowa, a wyróżnienia otrzymały prace Stanisława Kuci z Rzeszowa i Krzysztofa Buckiego z Opola.

Wychodząc z założenia, że język poezji jest w stanie dać wyraz wszelkiemu pięknu, Dział Archeologiczny Muzeum Okręgowego w Rzeszowie zorganizował wieczór poetycki, poświęcony twórczości, opiewającej zabytki. Tytuł imprezy „Lecą wórka, lecą z lipowego pniaka” nie był wcale wymyślony przez organizatorów, lecz zaczerpnięty z wiersza E. Zegadłowicza pt. „Ballada o świątku beskidzkim, Jędrzeju Wórzcu”. Na program imprezy złożyły się utwory Gałczyńskiego, Zegadłowicza, Harasymowicza, Tondosa, Grygla, Młodzieńca i Piekły, w wykonaniu aktorów Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej, opiewające piękno twórczości ludowej i zabytków. Ze był to bardzo udany wieczór, nie jest to jedynie opinia redaktora rubryki, ale i uczestników. Zresztą, organizatorzy celowo nie zapowiedzieli publicznie imprezy, gdyż liczyli się z określoną ilością miejsc. Chętnych znalazłoby się z pewnością więcej.

Jesteśmy pewni, że o prasie zakładowej województwa rzeszowskiego niewiele jest wiadomo szerszemu kręgowi mieszkańców naszego województwa, nie licząc stałych odbiorców 5 czasopism zakładowych, ukazujących się w czołowych zakładach przemysłowych Rzeszowszczyzny.

Informujemy o tym z okazji seminarium redaktorów gazet zakładowych i radiowych, jakie odbyło się ostatnio w Rzeszowie. Zorganizowały je: Wydział Propagandy KW PZPR i Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych w Rzeszowie. Podczas spotkania członków Wojewódzkiego Klubu Redaktorów Gazet Zakładowych, omówiono problemy popularyzacji uchwał VIII Plenum KC PZPR i realizacji uchwał VI Kongresu Związków Zawodowych w dziedzinie oświaty, kultury i spraw socjalnych. Dokonano także wyboru władz Klubu Redaktorów Gazet Zakładowych, którego przewodniczącym został ponownie Józef Ściera z „Głosu Załogi”, piśmie WSK Mielec.

Nie trzeba chyba wiele udowadniać, że województwo rzeszowskie posiada sporo osiągnięć w zakresie upowszechniania kultury wśród najszerszych mas społeczeństwa. I z tego też powodu w województwie rzeszowskim przebywała grupa konsultantów Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego, która przeprowadziła sondaż na temat rozszerzenia poradnictwa przez tzw. wiodące placówki związkowe.

Goście odwiedzili Zakładowy Dom Kultury WSK Mielec i Dom Kultury Górników Naftowca w Krośnie oraz Powiatowe Ośrodki Instrukcyjno-Metodyczne w tych powiatach, rozpatrując możliwości udzielenia im pomocy przez wyżej wymienione placówki związkowe. Odwiedzili oni także niektóre kluby wiejskie w celu ustalenia potrzeb i zakresu poradnictwa na rzecz tych placówek.